ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Grudnia. Ner 52. Roku 1854.

POCZĄTEK I KONIEC.

(Z angielskiego Kornela Colville).

Przed kilką laty podróżowałem po Niemczech. Zwiedziwszy w przeciągu sześciu tygodni kilka najznakomitszych miast, dążyłem pewnego dnia do Lipska, i niedaleko tego miasta znajdowałem się wśród bardzo ciemnéj nocy na samotnym gościńcu. Iż tego dnia zrobiłem kilka mil piechotą, chciałem jak najprędzéj dostać się do jakiéj gospody na nocleg. Większą część podróży odprawiałem pieszo z tornistrą na plecach i tęgim kosturem w ręku. Ten sposób podróżowania więcéj mi przypadał jak każdy inny: mogłem bowiem dowolnie rozrządzać czasem i nie byłem zmuszony przebiegać okolice lotem błyskawicy, by się potem chełpić w obec przyjaciół i znajomych, że je w rzeczy saméj widziałem.

Gościniec był jak już wspomniałem, samotny, otoczony z obydwóch stron gęstym lasem; obawa zbójców przejęła mnie tém więcéj, iż z natury jestem cokolwiek trwożliwy, wyglądałem przeto z wielkiém upragnieniem gospody, nie wiedząc jednak dokładnie, jak daleko do niéj. Szedłem tedy daléj, aż nareszcie zobaczyłem jakiś duży gmach przy gościńcu. Stanąłem, przypatrując mu się bliżéj, ale noc była tak ciemna, że niepodobna mi było rozeznać, czy to dom prywatny, czy publiczna oberża. Znużony i zgłodniały zapukałem do drzwi — ale nikt mi nieodpowiedział; powtórzyłem pukanie kilkanaście razy, ale napróżno. Wniosłem ztąd, że dom ten niezamieszkały i poszedłem daléj, ale ledwie uszedłem kilka kroków spotkałem się z jakimś starym pochylonym człekiem, który, jak się zdawało, dążył ku temu domowi.

„Dobry wieczór,“ — rzekłem mu, gdy się zbliżył ku mnie.

„Dobry wieczór,“ odpowiedział.

„Czy nie mógłbyś mi pan wskazać jakiego domu, gdziebym mógł przenocować?“

„Dam panu nocleg w owym domu poblizkim pod trzema warunkami.“

„Proszę je wymienić“ — rzekłem.

„Najprzód, byś się pan nie przypatrywał mojéj twarzy; powtóre, byś się nie wypytywał o nic, co tu zobaczysz, a potrzecie, byś opuściwszy jutro rano ten dom, nigdy już nie przekraczał progów jego.“

„Przystaję na to wszystko; ale do czegoż ta tajemniczość?“

„Wypraszam sobie wszelkie zapytania“ rzekł starzec krótko.

W kilka minut stanęliśmy przed tym domem, którego drzwi otwarły się széroko w sposób dla mnie niepojęty. Starzec zaprowadził mnie do pokoju i powiedział: „Znajdziesz tu pan wszystko co potrzebujesz do wygody.“

Obróciłem się ku niemu chcąc mu podziękować, ale z trwogą i zdziwieniem zobaczyłem, że go już nie ma. O nieba! dokądże poszedł? — jakimże cudem zniknął tak nagle? Przez ścianę lub posadzkę nie mógł przecież odejść — a drzwiami? — byłbym przecież widział. Pobladłem i drżałem na całem ciele; nadzwyczajne i dziwne położenie moje zaczęło mnie mocno niepokoić: nie wiedziałem gdzie jestem i nie znałem mieszkańców domu. Wyobraźnia moja przedstawiła mi mnóstwo groźnych niebezpieczeństw. Dlaczegoż przyszedłem tutaj? Wszakże nocleg w zapadłych gruzach starego zamku, w stodole lub pod gołem niebem byłby mi daleko milszy przy spokojnym umyśle, niż pałac wśród takiéj niespokojności! Czyliż nie naczytałem się dosyć o gwałtach na zabłąkanych podróżnych? Ten starzec jest pewnie w porozumieniu z bandytami. Do czegoż ta tajemniczość? do czego te szczególne warunki? — Wielką popełniłem niedorzeczność przyjmując jego wezwanie; zamiarem jego było pewnie zwabić mnie tu i zgubić. Dlaczegoż nie pozwolił mi patrzyć mu w twarz? Czy może jest w związku z złemi duchami, lub sam złym duchem? —

Miotany temi i podobnemi myślami usiadłem nareszcie usiłując uspokoić się, co mi się téż po części powiodło. Niebawem jednak wstałem, by oglądnąć meble mego pokoju. Były kosztowne, ale staroświeckie, a w swoim czasie mogły być nawet bardzo gustowne. Zaspokoiwszy cokolwiek moją ciekawość; ujźrzałem nagle leżącą na stole laskę.

„Dzięki Bogu!“ — zawołałem. — „Oto jakaś własność starca, jego laska, jak się zdaje.“ —

Podniosłem ją, ale w téj saméj chwili wypadła mi z ręki z łoskotem na posadzkę. Odszedłem prawie od zmysłów, zimny pot wystąpił mi na czoło. Gdyby laska była żywa, gdyby była do mnie przemówiła, nie więcéj byłbym się przeraził. Po chwili odzyskałem przytomność. Laska leżała na posadzce, nie ruszała się, nie chodziła po pokoju, nie tańczyła, był to tylko kawałek kija, a widok jéj przerażał mnie jednak równie jak piérwéj. Leżała spokojnie i nieruchomo, jak wszystkie inne rzeczy w pokoju, a jednak nie miałem odwagi zbliżyć się do niéj; nie dlatego, że należała do starca, że ją widziałem w jego ręku tak się jéj obawiałem, ale laska sama wprawiała mnie w taką trwogę.

Widziałem w życiu mojém rozmaite laski, małe i wielkie, z srebrnemi i złotemi gałkami, z głowami psów, koni i lisów, — ale takiéj nigdy. U góry była na niéj czaszka ludzka misternéj roboty, z czego, nie wiem, ale koloru naturalnéj czaszki, i gdyby nie to, że była

malutka, byłbym ją miał za naturalną czaszkę. Pod czaszką były na złotéj obrączce wyryte następujące słowa: „Eram, es, sum, eris.“ (Byłem, jesteś, jestem, będziesz). W innym czasie byłyby mnie te wyrazy zajęły, byłbym rozmyślał nad ich głębokiém znaczeniem — ale w téj chwili nie mogłem się oddać temu badaniu; zastanawiałem się tylko nad czaszką, a raczéj gustem starca, który ten symbol śmiertelności chciał miéć ciągle przed oczyma. Jestże filozofem lub moralistą? A może zatapiał się w mądrościach dawnych Egipcyan, którzy podczas biesiad stawiali sobie przed oczyma kościotrupów, by miéć zawsze śmierć w pamięci? Nie mogłem odgadnąć jego zamiaru.

Zaledwie ochłonąłem cokolwiek z przerażenia, gdy się otworzyły drzwi pokoju mego i wszedł chłopiec w czarnéj liberyi.

„Pan mój polecił mi zapytać pana, czyli nie zechcesz pan posilić się czem przed spaniem?“

Zrazu nie byłem wstanie odpowiedziéć; nareszcie wyjąknąłem:

„Nie, nie, dziękuję, nie jestem głodny.“

„Bądź pan tedy łaskaw udać się za mną.“

„Ja tutaj zostanę, jeźli wolno,“ — odrzekłem.

„Już urządzono pokój dla pana,“ — odpowiedział prosząc, bym poszedł za nim.

Machinalnie usłuchałem go; czułem się pod wpływem jakiejś władzy, któréj nie zdołołem stawić oporu. — „Kto“ — zapytałem drżącym głosem — „kto jest twój pan?“

Chłopiec przyłożył palec do ust, na znak, że musi milczyć.

Szedłem tedy za przewodnikiem moim. Prowadził mnie po schodach na długą galeryę, z któréj weszliśmy do małego pokoju, gdzie stało łóżko z czarnemi kotarami.

„Oto pokój dla pana“ — rzekł chłopiec — „jutro o godzinie ósméj zrana znajdziesz pan śniadanie zastawione w tym samym pokoju, któryśmy właśnie opuścili.“

I rzekłszy to wyszedł.

Nie zdołałem w żaden sposb wytłumaczyć sobie tego tajemniczego postępowania. W pokoju tym nie było nic szczególnego, prócz że wyglądał bardzo posępnie. Czując się znużonym i spragnionym spoczynku, położyłem się w ubiorze i zgasiłem świécę.

Jak długo leżałem na łóżku, nie wiem; ale to wiem, że z głębokiego snu obudziła mnie przecudna muzyka. Słuchałem kilka minut, spodziewając się, że ustanie, ale napróżno. Za nadto rozdrażniony nie mogłem dłużéj leżyć i wstałem. Po cichu otworzyłem drzwi od mego pokoju, a oczy moje uderzył strumień światła. Spojźrzałem powyżéj balustrady galeryi, i z największém zdziwieniem zobaczyłem w pokoju na dole żywe postacie.

Było tam kilka dam i kilku mężczyzn stojących na około jakiegoś przedmiotu, który zdawał się obudzać w nich największą ciekawość. Wszyscy byli strojnie poubierani, a twarze ich olśnione

radością. Zdawało mi się, że rozmawiają ze sobą, ale chociaż widziałem, że im się usta ruszają, nie mogłem jednak dosłyszyć głosu. Uwaga ich była zwrócona na przedmiot w pośród nich będący.

Pokój, w którym byli zebrani, był bardzo gustownie urządzony; poznałem jednak, że to był pokój sypialny: po jednéj stronie stało łóżko z wytwornemi kotarami białemi; dama jakaś siedziała w łóżku oparta o poduszki, a na twarzy jéj widać było ślady przebytéj niedawno ciężkiéj choroby. Chciałem się dowiedziéć,, co było przedmiotem tego zajęcia się dam i panów, i niebawem zaspokoiłem ciekawość moją dostrzegłszy, że to było nowo-narodzone dziécię. Dziécię krzyczało, widziałem to po wykrzywieniach jego twarzy, ale niesłyszałem żadnego głosu oprócz tonów muzyki. Postacie ruszały się jak istoty nadziemskie, eteryczne, a jednak były jak wszyscy ludzie ze krwi i z ciała; rozmawiały ze sobą, śmiały się, ale niewydając najmniejszego głosu. I właśnie gdym rozmyślał nad tém, czy to mieszkańcy tego świata lub duchy, zniknęły nagle, równocześnie zniknęło także urządzenie pokoju i nowa scena stanęła przed zdziwionemi oczyma memi.

Ogród pełen kwiatów w całéj świetności lata przedstawił mi się: drzewa przystrojone bujném liściem i cudnym owocem, skowronek unoszący się w czystém balsamiczném powietrzu, pszczółka biegająca skrzętnie od kwiatka do kwiatka. W jednéj części ogrodu spostrzegłem grupę dzieci pięknych, zdrowych i niewinnych: siedziały na małym trawniku i splatały wieńce z kwiatów, któremi się wzajemnie zdobiły. W innéj części ogrodu widziałem jeszcze więcéj dzieci, niektóre z nich grały w balona, inne łapały motyle. Jeszcze jedna grupa spoczywała obok małego strumyka i przyglądała się w zwierciedle krzyształowego zdroju. Scena ta była czarująca, wszystko oddychało tam niewinnością, zdrowiem i radością. Nagle zmieniła się znów scena, a szérokie pole rozpostarłe się przed oczyma memi. Po jednéj stronie zabawiała się pewna liczba wyrostków piłką, po drugiéj grali inni w palestrę, po trzeciéj znowu inni w jakąś grę, któréj nie mogłem dokładnie rozpoznać. Scena ta nie była tak piękna ja poprzedzająca, ale główną jéj cechą była także radość i wesołość. Zniknęła jak poprzedzające ustępując miejsca innéj niezrównanie pięknéj.

Księżyc oświécał bardzo piękną okolicę, którą się sączył mały strumyk. Po obydwóch stronach rzeczki był gęsty széroki las; srebrzyste promienie księżyca igrały z wierzchołkami drzew i pląsały po powierzchni wody. Po lewéj stronie stały stare czarne gruzy, porosłe powojem i innéм zielem, zaś po prawéj stronie strumyka wznosiła się wspaniała wila nowym stylem zbudowana. Światło księżyca padało obficie na każdą część budynku stojącego na wzgórzu, otoczonego ogrodami ciągnącemi się aż ku brzegom rzéki. Tak czarującéj sceny nigdy jeszcze nie widziałem; w zachwyceniu mojém nie mogłem się jéj dość napatrzyć, gdy w tém pojawiła się młoda

jakaś dama z młodym mężczyzną. Krótki płaszczyk okrywał kibić damy; objąwszy ją ramieniem szedł obok niéj luby towarzysz, spoglądając wzrokiem miłości na jéj młode, wdziękiem urody kwitnące lica. Oboje zdawali się być w upojeniu rozkoszy.

Znowu zmieniła się scena i ujźrzałem wielkie publiczne zgromadzenie: mówca jakiś stał na trybunie; przemawiał z zapałem do obecnych, a słowa jego zdawały się wywiérać wpływ elektryczny na zgromadzenie. Każdy słuchał go z natężoną ciekawością, a gdy skończył odbiérał w nagrodę pochlebne wyrazy i oświadczenia od kolegów; po nim wstąpił inny na mownicę.

Ale ta scena zniknęła prędko, a teraz nastąpił smutny widok. Była zima; drzewa obnażone z liścia, wszelka wegetacya zaumarła. Po pustém, śniegiem przypruszonem polu szedł zgrzybiały starzec chwiejącym krokiem. Był tak słaby, że tylko o lasce mógł się wléc daléj i zdawało się, że przyczyną cierpienia jego jest równie choroba, jak i ostra pora roku; oczy miał mdłe i zapadłe, twarz zżółkłą i wynędzniałą, a czoło poorane strapieniem i troską. Gdy tak szedł powoli i mozolnie, zapadła ciemność i nadała téj scenie jeszcze smętniejszą postać. Muzyka dotychczas wdzięczna i wesoła zmieniła się nagle w melancholijną i smutną. Widok ten nie był wcale przyjemny, rad więc byłem gdy zniknął.

Ale jakże zdołam opisać zdziwienie moje na widok sceny następnéj? Była jeszcze smutniejsza, jak poprzedzająca. Widziałem obchód pogrzebowy: cztéry czarne konie ciągnęły karawan, a za nim jechało kilkanaście powozów; w oddaleniu widziałem cmentarz i zdawało mi się, że widzę księdza czekającego na zwłoki u wnijścia do wiecznego spoczynku. Zgroza mnie przejęła, zachwiałem się i padłem na posadzkę. Ale po chwili przyszedłem do siebie, nabrałem odwagi i stanąłem znowu. Zdziwienie moje wzmogło się do najwyższego stopnia, gdyż nagle ujźrzałem w miniaturze wszystkie poprzedzające obrazy, a pod niemi stały wypisane czarnemi literami następujące słowa:

„*Próżność próżności i wszystko jest próżność.*“

Zawlókłem się do mego pokoju i padłem na podłogę. Daléj nic sobie nie przypominam, aż usłyszałem pukanie do drzwi moich; był-to chłopiec z uwiadomieniem, że już siódma godzina. Obudziłem się i ucieszyłem, że już dniało.

Zeszedłem po schodach na dół i trafiłem do pokoju, w którym byłem poprzedzającego wieczora. Zastałem obfite śniadanie, z którego jednak mało co jadłem.

Zebrawszy się do podróży zapytałem chłopca, czyli pan jego pozwoli mi pożegnać się, na co ón odpowiedział, że to być nie może.

„Chciéj więc,“ — rzekłem do niego — „oświadczyć mu podziękowanie moje za jego gościnność.“

Przyrzekł to i w bramie domu doręczył mi list od pana swego z prośbą, bym go nie czytał, dopóki się cokolwiek nie oddalę. Dałem słowo na to i uda-

łem się w drogę. Uszedłszy prawie milę, otworzyłem list i wyczytałem co następuje:

„Mój Panie!

Opuszczasz zapewne mój dom pod wpływem wrażenia, jakoby użyto jakichś czarów dla wywołania scen, które pan widziałeś, i że je wywołano w zamiarze, by pana zatrwożyć i unieprzyjemnić mu pobyt w tym domu. Jeźli pan tak sądzisz, to się mylisz. Ja jestem stary dziwak, żyję sam, bez przyjaciół i krewnych, a może nawet bez przyjaźnego usposobienia ku społeczeństwu ludzkiemu. Zamiłowany jestem w studium filozofii moralnéj. Od wielu lat zastanawiam się nad znikomością i krótkością życia ludzkiego, a raz w rok przedstawiam tę koléj życia naszego od kolébki aż do grobu w żyjących obrazach. Na jednym końcu galeryi jest duże zwierciadło, na drugim zaś stoją osoby przedstawiające i scena obrazów. W zwierciadle odbija się przedstawienie. Dzień, w którym pan mój dom odwiedziłeś był dniem urodzin moich; w dniu tym odbywa się to przedstawienie od lat dwudziestu. Jeźli pan pojmujesz moje uczucia, tedy może to co pan widziałeś, nie będzie całkiem bez pożytku dla pana.

Z szacunkiem

A. E."

GÓRĄ NASZA.

Zu was Höherem sind wir gebohren.

Poeta wyjechał i zostawił dwa pióra na stole, gęsie jedno stalowe drugie. Przyszła pokojówka przątać, otworzyła okno i pióra mogły oddychać wolném powietrzem; ale nie to im było na myśli, ważniejsze ich rzeczy zajmowały.

Bo jak-to bywa, kiedy pan z domu, to słudzy w rządy, więc nasze pióra w uczoną rozprawę o poezyi, i każde swoje zasługi wyliczać.

Już-to ja coś więcéj od ciebie, mówi pióro stalowe, mnie trzymał w ręku poeta kiedy się pisało sławne poema „o księżycu." Co-to za rozkosz módz sobie powiedzieć: zpode mnie wypłynęło coś wielkiego! Inne pióra czém podobném poszczycić sie nie mogą; dodało pióro stalowe z przymówką gęsiemu.

O bardzo mogą, odpowiada pióro gęsie, wywijając swą kitka. Przecie pode mną pisała się sławna poezya „o nieśmiertelności duszy;" a dusza górą przed księżycem.

Nie prawda! odpowiada pióro stalowe, księżyc górą przed duszą.

Nie! dusza górą!

Nie! księżyc ja mówię... lecz na to potrzeba znać się na astronomii, o czém sie gęsiom nie śniło.

I tak szła sprzeczka, co wyższém: księżyc czy dusza?

Wreszcie nie mogąc przeprzeć mówi pióro stalowe: po téj prawdzie kto z nas najcieńszą kréskę pociągnie?

Wolę, najgrubszą! mówi pióro gęsie, i bardzo roztropnie bo gęsie pióra grubo piszą.

Bądź i tak! mówi stalowe pióro, dufając giętkości rozporka swego, nie lubię się pieniać jak drudzy; staję aby pokazać.

Stalowe miało zaczynać. Wznosi się z powagą, zanurza kłęby swoje w kałamarz, staje nad papierem, i ażeby oraz dać dowód zręczności, pociąga najsamprzód cieniutką kréskę, cieniuchną jak włosek.

Co prawda, to prawda! mówi gęsie pióro, sztrych jest cienki, ale i ja tak umiem... lecz wprzódy prosimy o grubą kreskę, bo o nią chodzi.

Będzie i gruba, mówi pióro stalowe z pośmieszkiem jak ów, kto swego pewien; jeszcze raz wmaczało łapki w kałamarz, wyprężyło się, nacisnęło...

Prysk! pękła jedna nóża, gdzieś wzleciała w powietrze a na papierze został żyd; a że o jednéj nodze pióru niepodobna ani stać ani pisać, padło tedy jak długie i westchnęło.

To twoja wina, że cierpię, ty z twoją kresą grubą do piekła wam; mówi pióro stalowe; ale to zawsze tak, kto się z motłochem wdaje.

Z motłochem! proszę? przepraszam ja świetnego rodu.

O bardzo! potomek gęsi.

A zkądże waszmość rodem? jeźli łaska, pyta gęsie pióro.

Ja z gór dalekich, gdzie szlachetna rodzina kruszców. Stal od wieków należała do szlachty, rycerstwo dawne zawsze stroiło się w pancerze stalowe.

Abo my pióra nie powiewały na ich szyszakach?

Były-ć pióra, to prawda, ale nie gęsie kodłuchy — i w śmiech pióro stalowe mimo bolu swego. Nasz ród odkąd świat światem bronił ziemi i ludu, gdy wojny nastawały.

A nasz ród niegdyś oswobodził kapitolium; gęsim piórem Luter tłumaczył biblię, Rottek historyę pisał, a Schiller, a Göthe, nieśmiertelne swe dzieła także gęsim pisali piórem. Komu-to wtedy było w głowie stalowe pióro? — Tak się rozwodzi pióro gęsie i wymachuje chorągiewką swoją.

W tém wiatr zadął w przeciągu, i lekkie gęsie pióro wyleciało przez okno; stalowemu nic się nie stało, bo ważyło z pół łuta i zostało na stole.

A cóż się stało z gęsiem piórem?

Właśnie gdy na ulicę leciało, przechodził torebnik z koszałką, złapał pióro, opatrzył, i mówi: dobre i to!

Powróciwszy do domu, obskrobał, odciął kodłuch i zaprawił w piórko do zębów, a kitę obmalował w piękne kolory i zatknął w wolanta.

Wprawdzie cierpiało pióro bole wielkie, ale pocieszyło się wkrótce myślą że do czegoś wyższego idzie.

I mówi do siebie: dziwna jak-to niektórzy wysoko idą, a drudzy jak naprzykład, stalowe piórzyska zawsze zostają w cieniu; ale to za wychowaniem idzie. Co by-to się działo tamtemu piórku patrząc na moje znaczenie!

Tak samo pomawiał i kodłuch zostawszy piórkiem do zębów: Teraz ze mnie osoba, przecię coś znaczę, pewnie dostaję się do księcia albo do króla, sadowić się będę na stół królewski, do ust królewskich mogę się zbliżyć, a może pozwoli się i księżniczka przytulić. Co za szczęście!.. Ani gadania, teraz jestem czémś więcéj... I stalowemu pióru ze mną się mierzyć! Żal mi go.

I było tego marzenia ze cztéry tygodnie.

Wolanta ktoś kupił chłopcu na imieniny, i ilekroć podbity wzlatywał w górę, pióro wołało: jestem teraz czemś wyższém.

Ząbnikowi jakoś nie tak się wiodło; wprawdzie przyszedł na pański stół, ale go nikt nie ruszył, po obiedzie, że próżno leżał, lokaj wziął w zęby i poszedł za sprawunkami swojego pana; zły że go nie wczas i w deszcz posłano, wylał lokajską żółć na piórko, pogryzł i plunął nim w śmiecie idąc ulicą.

A było-to pod domem poety, właśnie kiedy powrócił i zabierał się do pisania. Bierze pióro stalowe do rąk, patrzy że koniec pryśnięty, miotnął niém za okno i padło na śmiecie.

Ach jakżeż ci ludzie niewdzięczni! wyrzekło pióro stalowe; wszak zpode mnie wypłynęła sławna poezya „do księżyca“ a teraz

wyrzucili mnie na śmiecie, i jeszcze w taką słotę!.. Gdyby się choć zaopatrzyć jakoś, ażeby nie zardzewić.

A z drugiéj strony na tém samém śmieciu piórko od zębów prawi do siebie: Co mi po całéj poezyi „o nieśmiertelności duszy!“ teraz leżę na deszczu, zgryzione na łupki!.. ach co za niewdzięczni ludzie!

Tymczasem zawitał do nich ktoś trzeci. Chłopiec bawiąc się wolanta, cisnął bokiem, wolant wyleciał na dwór, przemókł, kolory w kicie zmyły się i zbrudziły szkaradnie.

Z gniewem wyrywa chłopiec kitę z piłki, wyrzuca na śmiecie, i mówi: pójdź precz, kiedy kolorów nie chowasz.

Boże! jakżeż ci ludzie niewdzięczni, westchnęła kitka, i opatrzyła się z pańska po śmieciu. Mam przynajmniéj pociechę w sercu, żem była czem-siś na świecie, i będę; byle tylko ta słota minęła, wzniosę się znowu, bo moja sprężystość nie zwichnięta, czuję to.

Za pozwoleniem! przebacz pani śmiałości mojéj, zdaje mi się witać dawną w niéj znajomość moją, mówi stalowe pióro na śmieciu; jeżli się nie mylę, bawiliśmy na biurze poety niegdyś.

A kita nadęła się, z pogardą rzuciła okiem na stalowe pióro i jakby je nigdy nie znała:

Kogoż mam honor? wycedziła z niechcenia.

Nie dało się kończyć bo nadszedł gałganiarz przebierać w śmieciu, znalazł wszystko troje, piórko, kitę i kić stalową, i cisnął do kosza.

A mówiłam, że będzie jeszcze coś wyższego ze mnie, powiada kita, gdy popadła w ręce baby i drzeć ją z pierza zaczęto. Tymczasem pierze poszło pod materac, a tyczkę gołą wyrzucono za płot.

Nic-to nie szkodzi, mówi tyczka do siebie, przecie ja coś więcéj znaczę niż ci tu wszyscy, bo zpode mnie wypłynęło sławne poema „o nieśmiertelności duszy.“ Górą nasza!

ABECADŁO MUZYKALNE.

Miłośnikom muzyki godzi się wiedzieć, zkąd poszły nazwiska siedmiu tonom muzycznym. Otoż kronika z jedynastego wieku powiada, że twórcą abecadła mukalnego jest pewny mnich zakonu Benedyktynów, zwany *Guido d'Arrezo*, który je powziął z początkowych sylab pieśni spiewanéj w modłach do świętego Jana o zachowanie piersi od chrypki. Pieśń ta opiewa:

Ut queant laxis
*Mi*ra gestorum
*Sol*ve polluti
*Re*sonare fibris
*Fa*muli tuorum
*La*bii reatum
*S*ancte *J*oannes

Wiersz ten składem swoim dosyć zawiły chcąc rozumiéć, należy go czytać porządkiem sylab początkowych następującym: ut, re, mi, fa, sol, la, si, (biorac s od sancte, zaś i od Joannes); i będzie:

Ut queant laxis
*Re*sonare fibris
*Mi*ra gestorum
*Fa*muli tuorum,
*Sol*ve polluti
*La*bii reatum
*S*ancte *J*oannes!

(co znaczy:) O święty Janie! racz sługom swoim rozwiązać skażone usta, ażeby mogli swobodnym głosem wyspiewywać cuda dzieł twoich.

I tym też porządkiem: *ut, re, mi, fa, sol, la, si,* przyjęte zostało abecadło muzykalne we Włoszech, a od nich przeszło do innych narodów szczepu romańskiego. Germańskie plemiona oznaczyły, jak wiadomo tony głosami: c, d, e, f, g, a, h; ale powód nam nie jest wiadomy dlaczego tych n nie innych głosów z porządku abecadła zwyczajnego dobrano. Lecz dla ciekawości zapiszemy jak muzyka chińska te siedm tonów oznacza:

ce, y, pienkung, Kung, scang, Kio, pience.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*